

Psy i ludzie

Nikt ich nie karmi, ale też i nie przegania. Nie bije i nie wylapuje, ale też nie uważa się nad ich losem. Może dlatego, że w India [1] tak wielu ludzi głoduje i żyje na granicy egzystencji. Wałęsają się po wsiach i miastach całymi watahami. Psy - przeraźliwie wychudłe, często chore. Pokryte strupami i liszajami. O sierści przypominającej zbutwiałą wycieraczkę przed drzwiami. Są - podobnie jak większość Hindusów - wegetarianami i pewnie dlatego tak bardzo różnią się od swych zachodnich pobratymców.

Żywią się tym, co znajdą na ulicy. Przegniętymi skórkami bananów i innych owoców. Nadgniętymi warzywami na wysypiskach śmieci. Zlizują resztki lodów z papierków. Wiecznie głodne, ale nie ma w nich agresji. Ludzi nie atakują i prawie nie szczekają. A jeśli już to robią, to ich szczekanie przypomina raczej skomlenie żebraka o parę rupii. Ciche i nieśmiałe. Jakby przepraszały za to, że żyją.

Nigdy - w czasie swych wielu podróży do Indii - nie widziałem nikogo, kto rzuciłby im choćby kawałek *ciapati*, tak jak wnuk maharadży z Kuchleharu opiekujący się setkami bezpiecznych kundli w New Delhi, którego spotkał Tiziano Terzani. *„Każdego ranka, punktualnie, nie zważając na wiatr czy deszcz, wyruszał swym starym samochodem, do którego czasem ładował i zabierał do domu jakieś ranne albo umierające zwierzę zgarnięte na ulicy.”* (T. Terzani, „Nic nie zdarza się przypadkiem”).

Z drugiej strony nigdy nie byłem świadkiem torturowania zwierząt jak, niestety, zdarza się to jeszcze w Polsce. Może z powodu wiary w reinkarnację i przekonania Hindusów, że ludzie, zwierzęta i rośliny to różne fazy tej samej egzystencji? No, bo jak tu rzucić kamieniem w swojego zmarłego ojca, matkę czy dziadka?

Dziwne, że pomimo tak podłej diety i warunków życia mają jeszcze siły na kopulowanie. Ich miłosne zapasy przypominają raczej końcówkę bokserskiej walki, kiedy to obaj zawodnicy, z wyczerpania i bólu, ledwo słaniają się na nogach. Nie ma w nich pożądania, pasji, ale resztki instynktu popychające do aktu prokreacji. Podobnie jak u mieszkańców slumsów, którzy choć żyją poniżej poziomu egzystencji, płodzą rokrocznie kolejne dzieci skazane na wegetację w brudzie, smrodzie i poniżeniu.

W Indii - zwłaszcza na wsi - zadziwia mnie ta symbioza ludzi i zwierząt żyjących obok siebie. Właśnie „obok” a nie „razem” jak na Zachodzie, gdzie pies, kot a nawet świnia bywają „najlepszymi przyjaciółmi człowieka”. Maskotkami prowadzonymi na smyczy i w kagańcu, czy żywymi kilogramami protein tuczonymi na siłę w przemysłowych Hodowlach.

W Indii wyłącznie w dużych miastach spotykałem zamożnych przedstawicieli klasy średniej spacerujących po ulicach ze swoimi psimi pupilami. Na wsiach nadal te dwa światy, ludzi i zwierząt, istnieją obok siebie, choć każdy Hinduś wie, że są częściami tej samej całości, częścią stworzenia. Jedna bez drugiej nie może istnieć. Może z tego powodu tak rzadko spotykam się tam z przejawami infantylnego, charakterystycznego dla Zachodu rzekomego troski o prawa i losy zwierząt [2]. Nawet najmniejsze dziecko w Indii wie, że człowiek nie jest istotą wyższą, która może wykorzystywać zwierzęta i uśmiercać do woli. Dla własnej przyjemności i korzyści.

Dopiero niedawno Zachód na nowo „odkrył”, że postęp oparty wyłącznie na rozumie, panowaniu nad przyrodą oraz konsumpcji prowadzi człowieka w ślepią uliczkę i zmienia swój stosunek do przyrody. Tyle, że to jego staranie bardziej przypomina narcystyczne przeglądanie się w lustrze jak autentyczne poszukiwanie utraconej więzi z Wszechświatem. A tymczasem w imperium Maurjów, już w III w. p.n.e. cesarz Aśoka Wielki, po przyjęciu dharmy Buddy, wydał edykt zabraniający „zabijania zwierząt czy to na pokarm czy dla obrzędów religijnych”. Jest to dziedzictwo, do którego Zachód - jeśli zechce - może zawsze nawiązać.

tekst też na stronie Autora "Zapiski spod puszczy"